Ner 16. Kraków 28 maja 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny" — w Krakowie.

LORD BYRON

SZKIC LITERACKO-BIOGRAFICZNY

PRZEZ

Lucyana Tomasza Rycharskiego

(Ciąg dalszy).

Byron ze swoją wątłością moralną nie byłby się oparł w sferze rzeczywistej potokowi ludzkich dążeń i popędów, nie byłby utrzymał stale jednego charakteru, lub jeśliby mu wrodzona duma do tego dopomogła, nie zaznałaby w sobie ani chwili zaspokojenia. Wielki ideał dobra, wciąż unoszący się w jego wyobraźni, nie dozwoliłby mu pojmować drobnych i stopniowych kroków towarzystwa ludzkiego. Jego siłą, jego całą wielkością miała być poezja; dla jej też kształcenia przedsięwziął zwiedzić południowe i wschodnie kraje.

Dwa lub trzy miesiące przed swoim wyjazdem przepędził w zamku opactwa w gronie przyjaciół, prowadząc żywot ekscentryczny wiernie odmalowany w pierwszej pieśni Child-Harolda. Kilku tych młodych szaleńców przebrawszy się za mnichów, a Byrona zrobiwszy opatem, bankietowało i hulało dzień i noc, spijając Burgunda w czaszkach trupich. U Byrona była to tylko przelotna fantazja, chwilowa rozrywka; albowiem zrażony dotkliwą krytyką, znudzony polityką parlamentarną, a szczególnie dla zajęcia umysłu czemś ważniejszem, a może dla przygotowania się do czynnej roli w kraju, opuścił Anglję w towarzystwie pana Hobhonse w r. 1809. Obrażony w swej dumie, w nadziejach zawiedziony, od dłużników szarpany, porzucał ojczyznę bez żalu, powtarzając z Haroldem:

Żałuję tylko, żem nie zostawił
Nic, coby było łez godne.

O i gorzej jeszcze, bo jeśli co przykrego spotkało go w podróży, zwykł był mawiać, że mu to milsze, niż największa przyjemność w Anglji. — Wszędzie przyjmowany gościnnie i wszędzie stosujący się do miejscowych zwyczajów, przepędził dwa lata w obcych ziemiach, obozując z jednymi, włócząc się z drugimi, zawsze pochopny do miłostek, a nigdy nie skarżący się na żadną przeciwność. Pomału poodprawiał służących angielskich, poprzestając na krajowych. Z Fletcherem, wiernym sługą, najtrudniej było mu się rozłączyć, ale i tego odesłał z takim listem do swojej matki:

„Wcale żadnej nie mam z niego pomocy, a „wciąż słyszę narzekania na niedostatek piwa i befsztyku; wszystko, co obce, zasługuje u niego na wzgardę, przytem nieprzyzwyciężona tępość w nauczeniu się najprostszych słów lada jakiego języka, czynią go „równie jak wszystkie sługi angelskie, nieznośnym i niezdatnym do niczego............
„Zresztą poczciwy chłopak i dosyć sprytny „w krajach chrześciańskich; ale w Tureczyźnie — Boże zachowaj!"

Poczciwy sługa z głębokim żalem pożegnał pana swego, czekając tylko sposobności wrócenia doń choć później; a gdy w piętnaście lat potem wielki ów poeta umierał w tych samych miejscach, zkąd pisał list ów żartujący kosztem poczciwego sługi, ten sam Flotcher zamknął mu powieki i przyjął ostatnie wyrazy umierającego.

Wsiadłszy na okręt w lecie r. 1809, udał się naprzód do Lizbony, zwiedził Kadyx i Andaluzję, powstającą właśnie naówczas przeciwko jarzmu francuzkiemu, i dzieląc czas pomiędzy poezję i miłość, popłynął nakoniec do Malty, ztamtąd do kraju swych marzeń, do bohaterskiej i poetycznej Grecji, którą z taką miłością później w rymach swoich opiewał, i za którą życie położył. Przyjęty z uprzejmością przez Alego-Baszę w Albanii, zapoznawszy się z królową Libanu, panią Esterą Sztanhope, w Listopadzie był w Missolungbie i przy końcu w Atenach, gdzie piękna Teresa Macri stała się dlań żyjącą Muzą, za której miłosnem natchnieniem pisał nieśmiertelne strofy drugiej pieśni *Child-Harolda*, którą w Smyrnie (w kwietniu następnego roku) dokończył. Oprócz innych przygód poetycznej podróży przebył wpław, jak niegdyś Leander, całą wszerz cieśninę dardanelską, z czego się później więcej, niż z wszyst-

kich dzieł swoich przechwalał. Spielgrzymowawszy wschodnie i południowe kraje powrócił do Anglji pod nawałem kłopotów o niepewną przyszłość, który to stan jego umysłu najlepiej się maluje w następującym liście:

„Przyszłość wcale nieuśmiechający się przed-
„stawia mi obraz; moje interesa majątkowe
„w nieładzie; co do interesów państwa, o
„te głowa mnie nie boli. Opuszczony, a je-
„dnak nie czuje pociągu do towarzystwa;
„zdrowie moje nadwątlone licznemi gorącz-
„kami, lecz dusza stoi nieugięta; powracam
„do siebie bez jednego promyka nadziei,
„bez chęci do niczego. Pierwszy człowiek,
„którego spotkam, będzie adwokat, drugi
„wierzyciel, potem zwalą się dzierżawcy,
„górnicy, faktory i wszystkie nudy przywią-
„zane do zaszarganych majątków i kontes-
„towanych kopalni węgla; słowem jestem
„smutny i nieswój; a jeżeli mi się uda na-
„prawić moje trudne do naprawy interesu,
„znowu się puszczę w świat za oceany."

Te kłopoty pieniężne, najprzykrzejsze dla człowieka z charakterem dumnym i gwałtownym, jakim był Byron, dopiero skończyły się z powtórnym jego wyjazdem na ląd stały r. 1816. Przez te pięć lat, spędzonych w Anglji, wciąż zostawał w najprzykrzejszych obrotach; jednak wśród ciężkich doświadczeń i upokorzeń najlepiej się maluje dobry grunt serca naszego poety i rzadka umysłu wspaniałość.

W chwili powrotu do Anglji r. 1811 r. utracił matkę, wprzód nim ją mógł oglądać, i dwóch swoich najlepszych przyjaciół. W odbytej podróży za granicą marzący genjusz nazbierał treści, rozwinięcie rozumu wyrównało bujności wyobraźni i odtąd to zaczyna się epoka jego sławy i znaczenia literackiego, odtąd nauczył się okrążać swoją wzniosłą liryką zewnętrzne przedmioty, jednoczyć, zlewać je razem z swoją malowniczą indywidualnością, tak że żaden znawca oddzielić ich już nie może. Któż np. wyrzec zdoła, czy Byron z piersi swoich wywołał śmiałą postać *Korsarza*, czy postać ta istotnie stworzoną była dla jego opisu?..... W moralnym względzie pomimo zebranych wrażeń i doświadczeń przez czas podróży, nie zaszła żadna zmiana w Byronie; zawsze wrażliwy, gwałtowny, poetyczny, szukający próżno szczęścia, które dobrowolnie tłumił w sobie....... uczucie tylko miłości, jakkolwiek niestałe w wyborze przedmiotów, było w nim szczere i silne; to uczucie razem z poezją odrywało go zawsze od ziemi, ono nie było dla niego, jak dla zwyczajnych ludzi, tylko chwilowem zajęciem, on kochał prawdziwie, kochał bardziej miłość niż osoby; jego miłość, jak miłość kobiety, szukała ideału, tęskniła za ideałem, którego typ dla dusz wybranych w niebie tylko znaleść może. Każde takie przejście uczuciowe stanowiło epokę, stanowiło silne wstrząśnienie w Byronie.

Za powrotem z podróży dwa przywiózł poemata; na jeden z nich nadzwyczaj wiele liczył, drugi mało cenił. Tymczasem pierwszy miał tytuł: *Naśladowanie z Horacyusza*, utwór bardzo mierny, a drugi zawierał dwie pierwsze pieśni *Child-Harolda*. Przyjaciel, któremu te dwa rękopisma były powierzone, wstrzymał mimo usilnych nalegań Byrona, wydanie pierwszego, a drugi ogłosił. Z wyjściem na świat Child-Harolda cały Londyn brzmiał imieniem lorda Byrona. Ta nowa, tajemnicza, śmiała, głęboka i ciemna poezja obudziła wielki entuzjazm. Ów młodzieniec lekceważony, nie poznany, położył się spać nieznanym, a zbudził się sławnym. W kilka dni musiano zrobić drugie wydanie. Ministrowie, filozofy, poważni senatorowie, wielkie panie, modnisie, wszystko to cisnęło się do podwoji poety. Od tego dnia Byron należał do świata; a jeżeli społeczność brała go za przedmiot swojej rozrywki, za bawidełko, tedy on wziął jej jedyną rzecz, którą mu dać mogła t. j. doświadczenie. Zresztą zdobył na niej pewien rzeczywisty grunt, przydatny mu za tło do fantastycznych malowideł. Rzeczywistość ta stanowi tak rdzenną część talentu Byrona, iż u niego prawie zawsze zmyślenie poetyckie z prawdziwych wypadków natchnienie czerpie. Wysoko cenił on korzyści, jakie osięga pisarz w starciu się ze światem. W liście pisanym do księgarza Murray, gdzie go zaklina, aby mu nie nasyłał miernych książek, tak powiada: „Wadą wszyst-
„kich tych panów jest równe oddalenie się od świata
„jak od pustyni; a tymczasem świat i pustynia są to
„dwa sposoby do zbadania tajemnic życia, bądź czyn-
„nego, bądź oderwanego. Nie można zaglądać w dra-
„mat życ a tylko na chwilę i jako widz, ale należy
„stać się cząstką całego mechanizmu."

Wkrótce potem wydał pod tytułem: *Giaur* czyli *Niewierny*, ułomek powieści tureckiej zaczynającej się przedziwnym opisem pięknego klimatu wschodu. Oddycha w nim wonią ziemi czarodziejskiej; wszystkie uczucia są tam roskoszą. Wszystko zdaje się tam być utworzone dla szczęścia i dla spokoju, a jednak wśród tego rozkosznego raju panują namiętności nieznające prawa. Życie tamtych okolic zdaje się być martwem. „Jestto Grecja, ale nie natchniona życiem." Zapał nadzwyczajnego uczucia znamienuje ten poemat; są w nim wyrazy oddychające, myśli gorejące, jestto krzyk rozkrwawionego serca. W bohaterze wiele jest boleści i woli; czuje się niejako, że całe życie w kilku godzinach trwoni. Gaśnie, jak pochodnia, która zapaliwszy wszystko w około siebie, wśród pożaru sama niknie. Poezja w tym poemacie jest gorącą i zwięzłą, myśl zawarta w kilku wyrazach dosięga duszy z podwójną mocą. Z tem wszystkiem wiersze stają się słodkiemi i harmonijnemi, gdy wyrażają delikatne i powabne obrazy;

są smutnemi i rozrzewniającemi, kiedy spustoszenie malują; wzruszającemi, kiedy Giaur na łożu śmierci przypomina sobie przyjaciela, który mu niegdyś los jego przepowiedział.

Lord Byron zmienia styl podług rozmaitości poruszających nim uczuć, i właśnie ta okoliczność utrudza tłumaczenie pism jego. Chcąc tłumaczyć genjalnego pisarza, nie dosyć jest, znać wyrazy; sama tylko dusza oddać może mowę duszy. Przezwyciężać należy przeszkody przez wzruszenia, czuć należy zapałem piękności, które na inny język przelać chcemy. Lecz im bardziej tłumacz jest wzruszony, tem trudniej mu jest odważyć się na osłabienie i przeistoczenie myśli, odejmując im harmonję wiersza. Tłumaczyć poetę nie jest to samo, co wziąść cyrkiel w w rękę i rozmiar budowy kopjować; trzeba ożywić jednym tchem życia inne narzędzia, a nie każdemu jest dano tego ducha twórcy posiadać. — Nie mogą narody między sobą piękniejszej robić zamiany, jak płodów myśli. Są to skarby ducha ludzkiego, które się mnożą przez udzielanie ich, ale tylko godne ręce rozdzielać je mogą. Byron obawiał się bardzo morderców literackich i z powodu tłumaczenia *Childa-Harolda* na wiersze włoskie, powiedział raz: „Jednem z nieszczęść przywiązanych do stanu autorów, mianowicie tych, co sławę sobie zjednali, jest trudność uchronienia się od tłumaczów.“

Po *Giaurze* nastąpiła *Oblubienica z Abydos.* Znowu tu maluje wschód, jego słońce piękące, serca rozżarzone, ale złagodzone wpływem niewinnej dziewicy. Byron pierwszy raz kobietę malując, wystawił ją niewymownie powabną, czulą, niewinną, do poświęceń gotową. Ona jedna zdolna wypogodzić czoło dzikiego Giafira, swego ojca, kocha Selima i we wszystkiem, co do niego mówi. przebija się młodość, wesołość i miłość; słysząc ją, płakać i śmiać się trzeba. Trudno znaleść coś podobnego, jak pierwszą scenę między kochankami i uniesienia Selima, kiedy uwolniony od wymysłów despoty widzi przed sobą nieskończoność, a obok siebie swój przedmiot ulubiony.

Zdania o tych dwóch poematach bardzo były rozdwojone. Podziwiano ich piękności, ale ganiono ich przedmioty i okropne namiętności w nich odmalowane. Porównywano lorda Byrona z wulkanem, wyrzucającym strumienie lawy gorącej na urodzajne pola i zamieniającym je w pustynię kamieniami i popiołami pokrytą. Jego genjusz za wielki, iżby nie miał silnie na duszę działać, nie smakuje w spokojnych wrażeniach; wznosi serce, obudza władzę moralną, uśpioną prawami i jednostajnością, rodzi żądzanie szczęścia odurzającego, które przewidywać dozwala; — życie poświęconoby dla niego. Nadaremnie pasować się trzeba w kajdanach wychowania i nawyknienia, gdyby je nawet zerwać można było, tem większem byłoby nieszczęście, upodlenie, tem większą okrylibyśmy się obojętnością i wzgardą. Byłaby to wśród miast i salonów energja dzikich. Tamowana tysiącem przeszkód, niedołężno wola obijałaby się o nas samych i przyprawiła o zgubę.

(Ciąg d. n.)

ECHO BURZY.

Szedłem zawsze z podniesionom głową,
Chociaż niebo szalało nademną
I groziło chmurą piorunową......
A gdym światła wołał zabłąkany;
To mi nieba błękit poszarpany,
Rzucał piorunu w drogę życia ciemną. —

Wybacz zatem, że dzisiaj niewierzę
W ludzkie serca — i w oczów twych mowę.
Nie pomogą umarłym pacierze.....
Więc odchodzę — choć cierń nogi rani,
Wśród przepaści idę — do otchłani —
Tam gdzie niebo zawsze piorunowe!

WNUCZKA

Ustęp z pamiętników Wesołej Kobiety

przepisał

J. K. TURSKI.

(Ciąg dalszy).

II.

Wirtuoza.

Po tem grałam ja znowu jakiś mazurek Chapina, on karnawał Wenecki Paganiniego, a pochwał i uniesień nad grą naszą było bez końca. Po skończonym koncercie przy obiedzie pan Zygmunt był bohaterem stołu. Opowiadał niesłychane dziwy z swego pobytu za granicą, a wszyscy z otwartemi usty dziwili się i rozumowi i dowcipowi jego.... jakim barwił swoje opowiadania. — W mowie jego przesuwały się najznakomitsi ludzie, jako dobrzy znajomi, którym on nie raz

dał nauczkę jaką dowcipną albo też psotnego figla wypłatał. Był tam i obiad u Dumasa ojca, była sprzeczka z cenionym wysoko przez wszystkich obecnych Klaczką, były dysputy z Zalewskim, Goszczyńskim, Góreckim— i rozumie się wszystkie zawsze wypadały na korzyść opowiadającego.

— Góreckiemu, mówił śmiejąc się pan Zygmunt wypłatałem małego figla. Wiadomo Państwu, że poeta ten, z resztą uie bardzo górno-lotny, jest bardzo religijny i nabożny. Otóż ja po powrocie z Rzymu byłem u niego. Cóż tam słychać? spytał się wieszcz z zapałem. — Matematyką jest zajęta cała Roma, odrzekłem mu. A to znowu? spytał. — A tak, rzekłem, w Bazylice świętego Piotra jest statua ojca apostolów z marmuru kararyjckiego. — A jest — widziałem ją.— I całowałeś pewno w stopę, dodałem. A—naturalnie. Otóż ta stopa tak jest obcałowana, że dzisiaj tylko zaledwie ślady palców dostrzedz można — jest więc matematyczne zadanie, aby wyrachować, za ile lat cały posąg tak zniknie, jak owa stopa..... Zgniewał się na mnie poczciwy pan Antoni, alem go wnet przeprosił opowiadając moją audyencją u Ojca świętego.

Takich i tym podobnych powiastek nie zbyt w koncept bogatych, nasłuchaliśmy się mnóstwo, wszyscy podziwiali niezwykły dar opowiadania pana hrabiego, a ja dosyć rozciekawiona z uwielbieniem tylko patrzałam w mówiącego, ciągle sobie wspominając o swej tajemniczej potędze gry, której u mnie dopatrzył się tak znakomity wirtuoz.

Po odjeździe pana Zygmunta, który wkrótce potem powrócił do Paryża i jakoś w swej mistrzowskiej grze już dalej nie postępował, tak, że prawie o nim ucichły zupełnie wieści — ja o niczem więcej nie myślałam, jeno o owej tajemniczej potedzę, i zarozumiałość moja wrosła do najwyższego stopnia. Grając sama podziwiałam się w największem zadziwieniu — i dziadek coraz więcej zachwycał się grą moją. Oprócz jednak tego wpływu, jaki Pan Zygmunt wywarł na moję zarozumiałość, nie zrobił on żadnego innego na mnie wrażenia. Mówiąc szczerze, nawet mi się niepodobał, lubo go uwielbiałam, jako gienjalnego wirtuoza. — Serduszka mego, dziecinnem tylko ogrzanego uczuciem nie rozdrażnił wcale, chociaż dziadunio sam podejrzywać mię zaczynał już o to, przypuszczając, że panienka w szesnastym roku życia, z takiem usposobieniem jak moje, i nadewszystko taka niby artystka, mogła się była łatwo obałamucić młodym wirtuozem, który się jej tak genjalnie przedstawił. Ale nie słuszne było podejrzenie dziadunia. Mnie ani zaraz po odjeździe Zygmunta ani potem nigdy nie uderzyło serce mocniej, nie czułam żadnej tęskoty po nim, nie było mi wcale przykro, gdy nie przyjeżdżał już potem nigdy, w ogóle nic a nic nie obchodziła mię jego osoba; zapomniałam o nim zupełnie. —

Już to z resztą i w innych stosunkach z młodymi ludźmi nie byłam jakaś wcale pohopna do zajmowania się nimi. Inne panienki w moim wieku, i z tak grymaśnem wychowaniem, jak było moje, kochają się już na dobre; mnie jednak nie śniło się nawet o kochaniu; byłam dla wszystkich grzeczną, uprzejmą, zawsze jednak duma moja i zarozumiałość stawiały mię na wyższem od nich stanowisku, i trzymały w przyzwoitem oddaleniu. Nie tylko o miłości, ale nawet o jakimkolwiek upodobaniu w kimś, mowy być nie mogło. Nazywano mię tez dla tego *zimną wirtuozką*. Mnie o pierwszą część tej nazwy nie chodziło wcale, druga była mi zawsze przyjemną. — Tak szedł czas powoli niby, a szybko, w życiu mojem nic się nie zmieniało, i pomimo, żem już była dorosłą pannicą pieszczoty z dziadkiem nie ustawały codzienne, ja go coraz goręcej kochałam, a on zawsze jednako ubóstwiał swoję najdroższą wnuczkę.

III.

Pierwsze wrażenie.

Gościniec pocztowy przechodził o pół mili od wsi mojego dziadka. Pewnego razu (a pamiętam dobrze ten dzień i tę godzinę nawet, było to w lecie, ja już w siedmnastej mego życia wiośnie, rozwijałam sie na pociechę dziadunia) dyliżans spieszący przez nasze pola nagle zatrzymał się bo most na owym nieszczęznym Prądzie, w którego nurtach miałam zamiar się utopić, załamał się właśnie w tej chwili, woda bowiem wylała ogromna i musiano z tego powodu zatrzymać się czas dłuższy, bo promem przeprawiać się nie można było w żaden sposób tak prędko; — konduktor, przeto przepraszał podróżnych za nieprzewidziane nieszczęście i polecał zwrócić się do najbliższej stacji. Podróżni zniecierpliwieni, nie mający nikogo znajomego w okolicy postanowili wrócić, dwóch jednak pasażerów jadących razem ze sobą w dalszą podróż, przypomniało sobie o moim dziadku, którego dobrze znali, i powzięli zamiar odwidzenia nas na wsi. Byli to: pan Karol i Stefan, obaj zamężni obywatele podróżujący dla przyjemności. Więc wiesz Stefanie — rzekł w dyliżansie jeszcze siedząc pan Karol — jedźmy do Doktora Antoniego. To widzę jest okazja od niego, (bo do przystanku posyłaliśmy zawsze po pocztę) zabawiemy się chwilkę.

— Dobrze, jedźmy, rzekł Stefan — nawet dawno chciałem odwidzić starego konsyliarza, który ma podobno przy sobie młodą wnuczkę grającą ślicznie na fortepianie.

— A już to to prawda, rzekł pan Karol — gra jak Kontski.

— I młoda? zapytał wtedy rozmawiających obywateli trzeci ich towarzysz podróży, o którym jakoś zapomnieli, chociaż przez całą drogę bardzo miłą prowadzili z nim rozmowę, i choć nie wiedzieli kto jest, poznali od razu, że wysoko wykształcony i szczególniej o literaturze poetycznej mówi z niezwykłą znajomością i zapałem. Na zapytanie więc jego, czy młodą jest wnuczka ich znajomego doktora, obaj uprzejmie zwrócili się do niego i pierwszy znowu Karol zaproponował mu towarzystwo.

Jechaliśmy razem dodał pan Stefan, może się i Panu bardzo nie spieszy — więc skoro nas wspólnie przypadek powitał, przeczekajmy chwilę i znowu razem pojedziemy dalej. Nieznajomy przyjął uprzejmą propozycją bardzo chętnie — i wkrótce wszyscy trzej przybyli do nas na naszym wózku. Dwaj przyjaciele dziadka przedstawili mu nieznajomego pod nazwiskiem Józefa Mirskiego — i dziadek mój, rad zawsze z gości, przyjął ich całem sercem. Pan Józef Mirski był to mężczyzna mogący mieć lat około 30, wzrostu dobrego, kruczoczarnych włosów i nadzwyczaj miłego wejrzenia. Cerę miał oliwkową, oczy czarne, wąsiki małe i bródkę hiszpańską. Nos nieco orli nadawał cechę jego obliczu trochę ormiańską, ale w wyrazie ócz, i ust przyjemnym uśmiechu wszystko u niego było nasze, polskie, swojskie i przyznam się szczerze urocze. Rozmowa gości z dziadkiem stała się wkrótce nadzwyczaj zajmującą, gdy bowiem przybyłam do nich, słuchałam jej z wielkiem zajęciem, a wymowne słowa przyjemnego nieznajomego, który z dziwnym zapałem opowiadał o wszystkiem, co się tylko ojczystej ziemi i jej literatury dotyczyło, robiły na mnie nie zwykłe jakieś wrażenie. Przyznam się tutaj szczerze, bo dziennik ten ma być szczerą spowiedzią mej duszy i mego serca, że słuchając pana Józefa po raz pierwszy uczułam jakieś silniejsze uderzenie mego serca, i jakiś nie zwykły dreszcz przechodził mi po główce. Było też dużo rzeczy nie zwykłych i nowych zupełnie dla mnie w tem co on mówił. Żaden z mych nauczycieli nie tłomaczył mi tak nigdy stanowiska naszej literatury i jej najwyższych Koryfeuszów, jak to czynił pan Józef kilkoma słowy, charakteryzując najdokładniej czy to Mickiewicza, czy Krasińskiego, czy Słowackiego, czy też Bohdana lub Goszczyńskiego — czy też Pola, Lenartowicza, Garczyńskiego, Syrakomlę, Wasilewskiego, czy w ogóle któregobądźkolwiek z naszych pieśniarzy, których utwory znał doskonale, wiele z nich ustępów umiejąc nawet na pamięć. Z ogromnym też zapałem przysłuchiwałam się jego mowie, i bardzo mi jakoś nie było na rękę, kiedy na prośbę pana Stefana, dziadunio zrobił mi propozycją, abym co zagrała. Przyznam się, iż poraz pierwszy w mem życiu duma moja ugięła karku przed wyższością ducha nieznajomego, zarozumiałość ustąpiła na bok, i już nie ze zwykłej pretensyonalności i kokieterji artystycznej, ale z prawdziwej skromności ociągałam się z grą moją. Lecz trudno się było uprzeć naleganiu, tem bardziej gdy do usilnych próśb przyłączył i swoję także mój nieznajomy, na którego innem zupełnie okiem patrzałam, niż na owego wirtuoza smyczkowego. Zasiadłam więc do fortepianu, lecz czułam, że wykonaniem mojem nie odpowiem dziś oczekiwaniu słuchaczy, bo jakoś i ręce mi drżały, i w oczach coś mi się ćmiło. Grałam jednak.

Grałam jakiegoś mazurka Chopinowskiego; — po pierwszem uderzeniu w klawisze nieznajomy powstał ze stołka i zbliżył się ku fortepianu. Mnie jeszcze większy dreszcz przebiegł po głowie, ręce jakoś silniej zadrżały... przerwałam...

— Nie — jakoś nie mogę grać dzisiaj — rzekłam pomięszana.

— Ależ pieknie — rzekł wtedy nieznajomy, patrząc się tak jakoś bystrym wzrokiem we mnie, żem aż musiała uciec przed nim z mojemi oczami.

— Prześlicznie — znakomicie — po mistrzowsku! wołali obaj obywatele.

— Ale graj, graj, moja duszko, skądże znowu ta niedyspozycja? — mówił dziadek; — Ja siedziałam przy fortepianie, ale jakoś nie miałam odwagi grać dalej. Wyznam także szczerze, że trochę za zimna pochwała nieznajomego, wypowiedziana jakoś tak obojętnie, jak gdyby gra moja, niczem nie była nadzwyczajnem u niego, trochę mię dotknęła... I wtedy też dawna duma urażona odezwała się we mnie. Zebrawszy się na odwagę, i pomyślawszy w duchu — poczekaj — ja Ci pokażę; co umiem — uderzyłam silnie w klawisze i wygrałam jednę sanatę Bethorena, która zawsze imponuje swoim hukiem, ale mało przemawia do serca. — Jestto jedno wyjątkowe dzieło tego mistrza, które dopiero całą swą piękność odsłania wtedy, gdy je wykonywa orkiestra z tysiąca instrumentów złożona. Nieszczęśliwa jej transkrypcja na fortepian, ogłusza tylko, przejmuje ale nie zachwyca ani nie porywa.

Gdym skończyła, dwaj obywatele rozumiejąc się tyle na muzyce, co Murawiew na poezjach Mickiewicza przesadzali się w pochwałach — nieznajomy zaś, jak gdyby wcale nie zachwycony grą moją, wypowiedział bardzo podejrzanym o niegrzeczność tonem: Nie lubię tej sonaty... Tamten mazurek lepiej się Pani udał. — Wszyscy obecni spojrzeli na niego z podziwem uwagi tej z jaką o mojej grze śmiał się wyrazić, a ja zacisnąwszy wargi, z politowaniem spojrzałam na niego.

— Ale nie pani to wina, rzekł po chwili nieznajomy — metr pani snać bardzo biegły muzyk, sam widać nie był z sobą w zgodzie, jak tę sonatę wykonać. Nic dziwnego — trudna to i zagadkowa kompozycja.

— Zagraj Paulinko marsza z Tanhäuzerów — rzekł wtedy mój dziadunio, nie zważając prawie na uwagi nieznajomego, którego już o zarozumiałość posądzał,

zagraj moje dziecię... Tó ci się uda... dodał uśmiechając się nieznacznie i mrużąc oczy do pana Stefana ze znaczeniem.

— Prosimy bardzo! dodali obaj goście ugrzecznieni.

Nieznajomy nie odezwał się ani słowa. Odszedł od fortepianu i usiadł na swojem miejscu, ale widziałam na jego twarzy wyraz jakiegoś grymasu, który mi mówił, że zrozumiał on dobrze przytyk dziadunia i odgadł jego myśli.

Czyniąc prośbom dziadunia zadość, i myśląc sobie zarazom, że marsz z Tanhauzerów zrobi silniejsze wrażenie na nieznajomym, aniżeli sonata Bethovena, bom byla pewna, że dla tego ją gani, bo jej nie rozumie— zagrałam żądanego marsza, lecz czułam, że oburzenie i irytacja przeszkadzały mi do jego należytego wykonania. Goście znowu obsypali mię pochwałami, i wtedy także nieznajomy wraz z niemi wypowiedział mi szumne frazesa admiracji, z których jednak teraz mniej byłam zadowoloną niż z pierwszej pochwały mazurka.

— A widzisz Pan? — rzekł wtedy do nieznajomego mój dziadzio. Udało się, prawda.

— Prześlicznie! rzekł na to pan Józef, kłaniając się uprzejmie — lecz widocznie unikał już odtąd dalszej dysputy o muzyce i o grze mojej. — Mnie to okropnie gniewało. Dalszych rozmów nie słuchałam już z takiem zajęciem, zdawało mi się bowiem, że pan Józef Mirski o wszystkiem z taką nieznajomością mówi, jak o grze mojej i o sonacie Bethovena. Byłam zła, chociaż ten człowiek dziwny szczególniejsze na mnie robił wrażenie. — Przy obiedzie rozmawiano zrazu o polityce, przy czem znowu pan Józef Mirski tak nadzwyczajnie bystro i trafnie rzeczy sądził, że mój dziadek, który miał tę słabość, że w zdaniach o polityce ze wszystkiemi był w niezgodzie, jemu pierwszemu przyznał słuszność, i zapomniawszy zupełnie o niegrzeczności, jaką mi był świeży gość wyrządził, okazywał mu jak najszczerzej najwyższe zadowolenie z poznania tak szanownej osoby. Ten tryumf słowa mego, jak go sądziłam, antagonisty, tem bardziej mnie dręczył i niespokoił, postanowiłam więc, na co by w innym razie moja obrażona duma nigdy nie zezwoliła, jeszcze raz zagrać przed nim. Był wówczas w Warszawie u najwyższego zenitu sławy młody fortepianista Krakowianin, którego śliczne, dziwnie rzewne i poetyczne kompozycje powszechnie się podobały. Ja, czego nie potrzebuję objaśnień, miałam wszystkie najświeższe nuty z Paryża, Berlina i Warszawy — znałam więc niemal wszystkie utwory młodego artysty, któremu nawet ostry Sikorski w wydawanym przez siebie: *Ruchu muzycznym*, najświetniejszą zapowiadał przyszłość. Postanowiłam przeto jeszcze raz popisać się z wykonaniem niezwykle trudnych kompozycji słynnego Krakowianina, i zaraz po obiedzie wybrawszy wszystkie jego nuty, i kiedy panowie przy czarnej kawie i cygarach kończyli zaczętą dysputę o stosunkach Anglji do Francji w wojnie krymskiej, zaczęłam sama najpiękniejszy utwór p. n. *Pieśni bez słów*. Czułam, że gra moja tym razem musi się podobać niegrzecznemu znawcy. Zaraz też z początku gry przybyli wszyscy panowie do mnie, Ja przerwałam.

— Nie dla popisu gram, moi panowie, rzekłam, ale ot tak dla siebie, i przepraszam panów, żem im milszą zapewne od muzyki gawędkę przerwałam.

Rzucili mi na to kilka komplementów — a mój zimny nieznajomy dodał:

— Gotowiśmy nawet przeprosić Panią, żeśmy jej w tak uroczej grze przeszkodzili, i usunąć się, aby usłyszeć tę nudną ramotę młodego pianisty z tak dziwnym wdziękiem wykonywaną.

Doprawdy, że już nie wiedziałam, co mn na to odpowiedzieć. Podskoczyłam z gniewem przy fortepianie i rzekłam z nietajonem oburzeniem.

— Pan jakoś bardzo wybredny w wyborze kompozycji.

— Tak jest pani — rzekł mi na to obojętnie niby — i nie radziłbym pani psuć sobie uszu i rączek na egzekucji takich początkowych płodów.

— Ależ to śliczna kompozycja.

— Śliczna? nie wiem. Jest w niej trochę młodzieńczego zapału, dużo sentymentalnej maniery, a najmniej siły i prawdy.

— A! to sąd surowy, ani Sikorski nie zdobył się na tyle komplementów dla młodego utalentowanego kompozytora.

— I Sikorski może się mylić, rzekł mi na to, może też czasem pobłażać...

(Ciąg dalszy nast.).

MŁODOŚĆ.

I.

Młodość słowo urocze, pełne promieni, pączków i marzeń. Młodość, poezja poranku, co krzyż święty kładzie na czole młodzieńca i dokoła obsiewa kwiatami nadziei.

Młodość,— łaska wiosny, co światy w cudze obleka barwy.— A tę młodość tę naszą dobrodziejkę, nie zawsze umiemy godnie przyjąć i ocenić. Częstujemy ją nieraz wymówką gdy wezwawszy w pomoc rozwagę, niepozwoli nam ulecieć i zginąć w obłokach, lub wzbroni utonąć w kwiecistem grzęzawisku ziemskich roskoszy.

Młodość zstępuje z gromadą aniołów na dziecię wychowane w poszanowaniu domowych obyczajów i rodzinnych świętości. — Serdeczna radość i poczciwe uciechy roją się dokoła młodzieńca, jakby gwiazd ty-

siące bo w młodem a zacnem sercu i radość i uciechy, mają nierozerwany związek z krainą ducha i niewychodzą nigdy z pod opieki Niebios.

Zadaniem młodości nie same tylko uciechy; ma ona przed sobą pracę i ofiarę. — Wprzęga się do wozu losów, na którym jadą czas i dzieje świata, a na ich drodze rosną i złote owoce Edenu i palmy męczeńskie Golgoty.

Młodzieniec, którego wychowano tylko do ziemskich uciech — łoduje na swéj niwie, również puste plony — a w jałowych przybytkach jego ducha zawiązują się zarody grzechów, fałszywych tonów prawdy — i całej rzeszy nieprzyjaciół chrześcijańskiego sumienia. —

Gdy dusza młodzieńca u gwiazd zawieszona, gdy serce jego pragnie poświęceń, gdy miłość siebie nie idzie w pierwszej parze, jakże młodość jest piękną, jak w zacne czyny rodzajną. Gdy nią zakołyszą burze, gdy pokusy rozepną swe różnobarwne skrzydła, gdy się uwezmą z niej zetrzeć zacności piętno — ostoi się na swej drodze, wytrzyma burze, zwalczy pokusy, bo wszechmocna jest ręka co czystą duszą kieruje. —

Tysiączne ogniwa łączą młodość ze światem: ufna w swe siły staje do wszelkiej walki, niewierzy w niebezpieczeństwo, gotowa wylew rzeki wstrzymać, ramieniem walące się skały podnieść, piersią niedolę bliźnich rozstrącić. Gdy się rozwaga połączy z potęgą młodości — gdy dojrzałości umysłu zrównoważy życie, jakże się ono staje pięknem i pożytecznem, jak doczesność, jest w zgodzie z nieskończonością, jak ciało, ten zlepek z gliny, jest godnem mieszkaniem ducha.

Jak lato bez słońca, tak młodość bez burzy przenikać nie może: lecz w tem jest pożytek słońca, że dopomaga dojrzeć owocom, w tem jest pożytek burzy że niedołężnych zmiata a dzielnych hartuje.

Młodość którą pierwszy wiatr łamie, pierwsza pokusa zwycięża, pierwsza walka nuży, miala w dzieciństwie słabych przewodników— i gorzkie wymówki ma im czynić prawo. — Bywa nieraz sieroce dzieciństwo i sieroca młodość — nad którą choć nikt nie czuwa, idzie po prostej drodze kierując się instynktem serca, którego nie spaczyli ani rodzice — samoluby, ani nauczyciele — spekulanci.

Młodzieniec wieszcz, nosząc w swem łonie prawdy Boże, rozkwita światu na taką ozdobę, takie rozwija myśli i pożytki, taką w swym duchu piastuje miłość, że w jego sercu niezliczonych skarbów, jak gwiazd na niebiosach, jak na dnie oceanu najdroższych pereł. —

Myśl młodzieńca wieszcza, jest promieniem rozświecającym pomrokę ziemską, przenikającym nieraz aż do głębi duszy znieważonej występkiem. Słowo młodzieńca wieszcza budzi do życia śpiących, pokrzepia słabych i jak powrót wiosny, pokrzepia ziarno leżące pod skibą.

Pieśń młodzieńca wieszcza jest pociechą, ochłodą i nauką strudzonéj ludzkości, a każdej ich nucie wtórują harmonijne wybranych głosy, jakby chóry aniołów, zwiastujących przyszłe szczęście światu. — Praca młodzieńca wieszcza jest na dzisiaj i na jutro, jest dla miljonów i za miljony, jest poświęconym trudem każdej chwili jego życia aż do wieczora, w którym anioł śmierci pocałowaniem swojem chłodzi znojne jego czoło i do wiecznego snu zaprosi.

Młodzieniec mędrzec, jak młode orle przeczuwa swoje skrzydła i pracą myśli zgłębiając niewidzialne światy, dosięga aż do świetlanych przestrzeni, gdzie oko gminu nigdy nie dopełznie; surowy dla siebie, przebaczający własne urazy, wolny od pychy i zamiłowania swéj osobistości. Umysl jego party pragnieniem światła i pracy podnosi się coraz wyżej, a chociaż zamiast laurów uwieńczą go nieraz cierniem, chociaż mu na gospodzie ziemskiej duszno i ciasno, chociaż na światło płonące w jego duszy dmuchają ludzie chłodni i ciemni — on idzie za przewodnią gwiazdą swego ducha, rozsiewając pełną dłonią zdobyte pracą blaski. Zaboli wprawdzie nieraz nad ciemnotą bliźnich, osypie kwieciem swych trudów pustynie i jałowizny żywota i coraz piękniej a szerzej płynie strumień jego życia i duch jego coraz bliżej a ściślej jednoczy się z mądrością Bożą.

Młodzieniec artysta z duszą wzniesioną ku Niebu, nie gardzi ziemską uciechą, lecz to z niej jedynie przyswaja, co w niej harmonijne z pięknem ideału. Ceniąc wysoko naturę, szuka w niej wdzięków, by za nie jeszcze goręcej ukochać Wszechstwórcę i życiem swojem Jemu zawdzięczyć.

Gdy w sercu młodzieńca artysty uderzą dotkliwe ciosy, nie zamieni się ono w pustą stodołę, po któraj wspomnienia jak głodne myszy biegają raczej, w zgliszcza ofiarnego ołtarza z tlejącemi wewnątrz żary gdy zaś po nad niemi anioł nadziei przeleci, znowu dawnem światłem rozpłoną. Rozpacz co jak rak wkrada się w żywot samoluba, nie ma przystępu do ducha artysty pełnego wiary w Boga i ludzi. Gdy się nań sypną pokusy i z nieba ideałów wyciągną na ziemię i na ciężkie wystawią próby, choćby upadł rychło powstać może, gdy mu w duszy choć iskra dawnego natchnienia została; odradza się na nowo i z nową siłą doświadczeń staje do boju z życiem i światem.

Młodzieniec postępowy kocha naukę jako klucz do krainy światła, gdzie cnót grono, otaczając podnóże Stwórcy, waży zasługi i winy ludzkie. Ile nowych światów odsłania nauka przed nim, tyle mu nowych sił przywa do znojów żywota. Nauka broni go od samolubstwa, drobiazgowych słabostek, zwierzęcego próżniactwa, czczości, niesmaku i niewiary w zwycięztwo prawdy na świecie. Życie takiego młodzieńca rozradowane ciągle płynącem ku sobie światłem, w doli i nie-

doli ma wewnętrznego pocieszyciela co go krzepi i uszlachetnia ducha i ciało. Nauka dla niego nie jest ogniskiem co groby oświeca, lecz promieniem rzeczywistego życia i wymagań jego; jest ogniwem łączącem niebo z ziemią — poezję z prozą, miłość ideału z praktyką życia. —

Młodzieniec rolnik, szukając w łonie matki ziemi pożywienia, odwdzięcza jej swą pracą, nie w celu pasowania siebie na liczykrupę i sknerę, lecz jako wzór światłego rolnika; a czując moralne obowiązki ziemianina i wiekowe prawo podań, zasługuje na powszechny szacunek, rokując piękne po sobie nadzieje. Młodzieniec miłujący ziemiaństwo, miłuje naturę, wdzięki jej ciche szelest drzew rodzinnych, kwiaty mogił ojcowskich i ten cały piękny świat Boży chroniący jego serce od skazy i chłodu. Nawzajem każde ziółko na łąkach i kłos na niwach, pszczółka na kwiatach zawdzięcza mu miłość, broniąc go od błahych myśli, rozpruszonych uczuć.

Młodzieniec rolnik, nie odrzuca książki jako przeszkody w gospodarstwie, nie usprawiedliwia umysłowego lenistwa brakiem czasu i środków, lecz podnosi i uszlachetnia oświatą każdą fizyczną pracę. Zysk własny uzacniony nauką idzie u niego na powszechny pożytek jako wzór postępowego rolnictwa, jako środek ułatwiający ogólny dobrobyt, jako żywy przykład dorobku moralnej i materjalnej potęgi. — Gdy klęski zburzą pracę światłego rolnika, gdy grody czy losy zniweczą mu plony, on wśród zniszczeni i gruzów poleca Bogu swoje utrapienia i dalej idzie w imię wiary i nadziei, przyświecającej jego nowej pracy.

Młodzieniec cynik, rzadko na naszym gruncie wylęgłe zjawisko, przerażające duszę i oczy, zjawisko na widok którego marzną uczucia i drętwieją myśli. — Ciemność zapada na serce cynika dla którego wszystko strupiało, bo nawet świat Boży stracił dlań ciepło i piękno swoje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika. — *Zjazd Lwowian i Poznańczyków, kursa talarów pruskich i dalszy ciąg majówek.*

Tegoroczny dzień Zielonych Świątek niepoślednie będzie mieć znaczenie w dziejach historji. Zapowiedziany zjazd Lwowian i Poznańczyków, przypomina nam jeżeli już nie Horodło, to przynajmniej arcydzieło Matejki — Unją lubelską.

Program uroczystości ogłosiły gazety, nie mamy więc potrzeby powtarzać tego wszystkiego co dziać się będzie przy odgłosie muzyki i przy fajerwerkach. — Będzie to szeg majówek — nieskończoność toastów i bezdnia serdecznych wynurzeń. — Przypuszczać więc należy że będą i mówki na temat „*Panowie! kochajmy się...*“ — a jakkolwiek zgoda i miłość chrześcijańska są to nadzwyczaj piękne i pożądane rzeczy — ale cóż kiedy na naszéj ziemi gdzie tak ślicznie udają się *głąbiki*, roślina ta niechce wydać owoców — mimo tylu mężów, którzy pracują wiecznie nad ogólną harmonją umysłów!... Gdyby mi wolno było zawadzić o politykę — dałbym wam za przykład Czechów — z których Petersburg myśli kiedyś zrobić jaką rzeczpospolitą syberyjską — a tymczasem mąci im wodę aby (jak pisze Djabeł) Minister nie złapał ich na wędkę. Szkoda jednakże wielka, że nie umiemy przy jednym ogniu piec kilku pieczeni — bo gdybyśmy zaprósili Czechów na majówkę — może serdeczność nasza przemówiłaby do ich rozsądku — tym sposobem przysłużylibyśmy się i krajowi i Ministrowi umniejszylibyśmy nie mało pracy — w którą niekrórzy już wątpić poczynają.

Zostawiwszy politykę na stronie — młodzież tutejsza nie mało cieszy się z przyjazdu poznańczyków a mianowicie towarzyszącej im płci pięknej — albowiem jak mówią wieści, każda panna poznańska ma w posagu brzęczące talary, a jak wiadomo talar jestto pieniądz wzbudzający wszędzie poszanowanie i na giełdzie krakowskiej płaci się dosyć wysoko. Otóż młodzież którą posądziliśmy niezdolną do niczego jak tylko do bezika i sześciu kijów pikiety — myśli, nad zrównaniem dwóch monet austryjackiej papierowej i pruskiego courantu. Zjazd więc ten jak się pokazuje przedstawia pewne niebezpieczeństwa dla panien krakowskich — bogatych po największej części tylko w skromność i wdzięki.... O brzydki realizmie dusz ludzkich! Niestety! materjalizm naszego stulecia tak już zdaje się przeniknął istotę naszą, że nic nie pojmujemy bez owego talizmanu — pieniędzy.

REBUS.

```
                                              d
   ó ó ó           i t i i i     j j j j    d d d
 ó         ó       i       i     j             d
 ó    L    ó       i  Poz  i     j j j        d        ająd̲o̲
 ó         ó       i       i     j           d           e
   ó ó ó           i i i i i     j j j j    d d d
 _____________________________
              N
```

Znaczenie rebusa w N. 15. **Wiosna darowała nas bzami i zapachem kwiatów.**

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *Wincenty Kornecki.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.